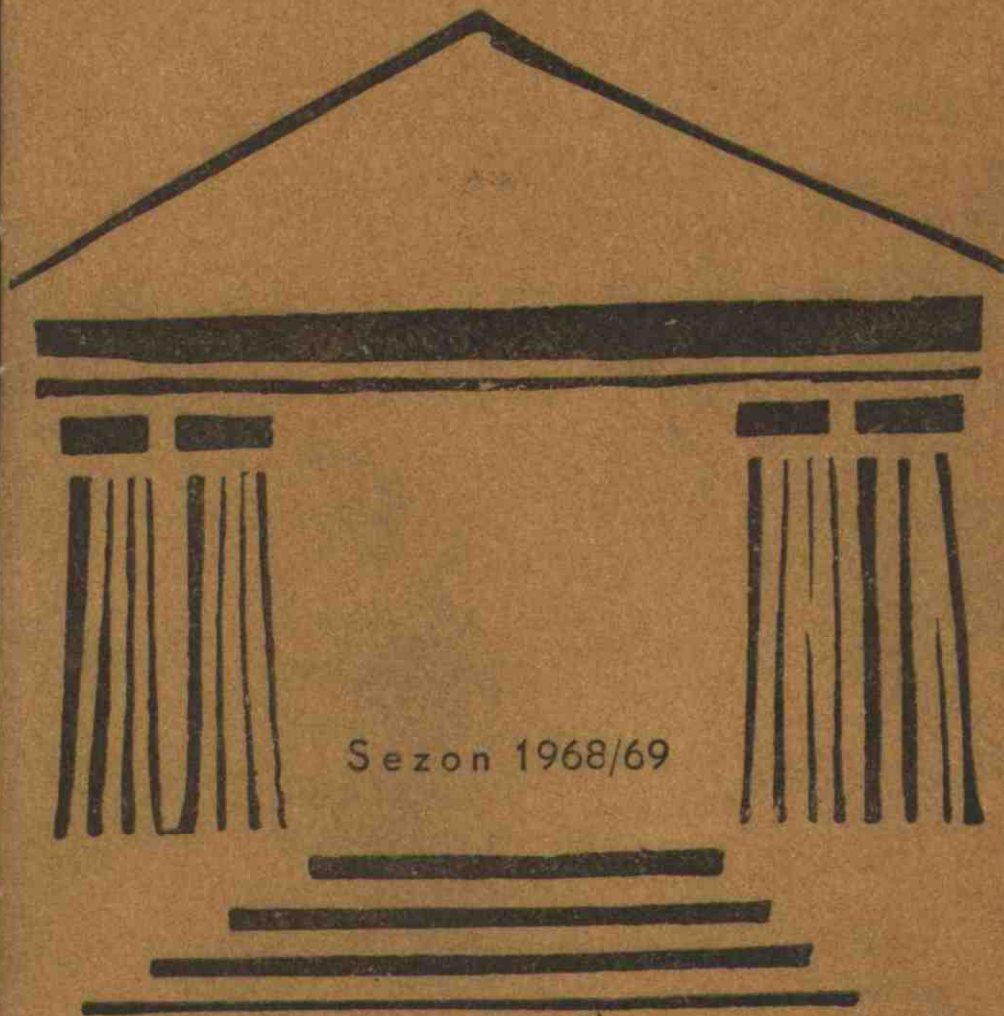


XIV 7.2 1969

TEATR im. J. OSTERWY w GORZOWIE WLKP.

1566



Sezon 1968/69

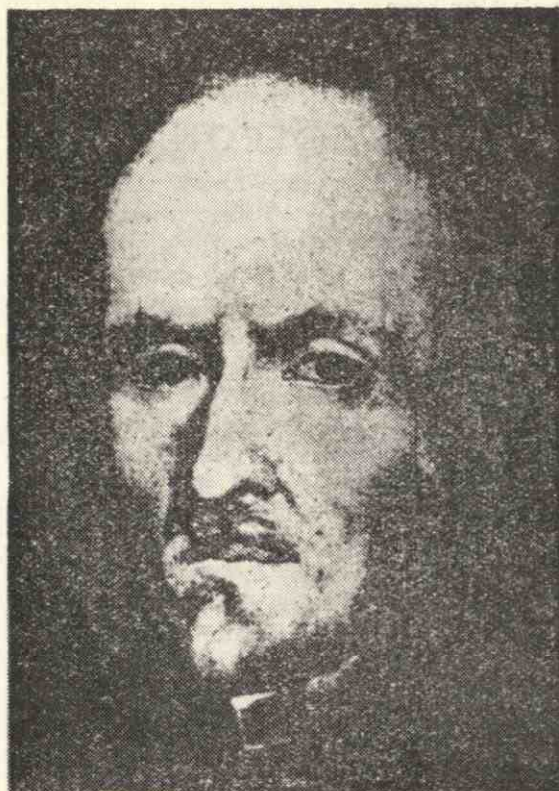
Pedro Calderon de la Barca

ŻYCIE JEST SNEM

PIĄTA PREMIERA SEZONU

Dyrektor teatru:
JAN BLESZYŃSKI

Kierownik literacki:
BOŻENA WINNICKA



Calderon

**ŚWIAT ŚNI
DLACZEGO NIKT
NIE CHCE SIĘ OBUDZIĆ**

"Życie jest snem" Dzień drugi

Pedro Calderon de la Barca

ŻYCIE JEST SNEM

(La vida es sueño)

Imitował: Jarosław Marek Rymkiewicz

O s o b y:

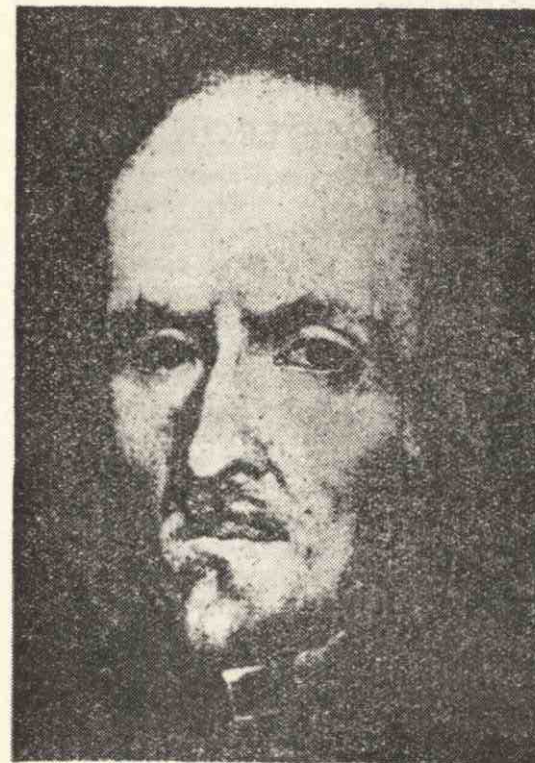
BASILIO, król Polski	KAZIMIERZ GAWĘDA
SEGISMUNDO, principe	JAN BŁESZYŃSKI
ASTOLFO, książę Moskwy	XXXXXXXXXXXX
CLOTALDO, stary	JAN SZULC
CLARIN, błazen	KRZYSZTOF KURSA
ESTRELLA, infantka	HANNA KRUPIANKA
ROSAURA, dama	MONIKA LIPOWSKA
SŁUŻĄCY	MAREK KĘPIŃSKI
ŻOŁNIERZ I	KONRAD FULDE
ŻOŁNIERZ II	PIOTR WYSZOMIRSKI

dwór, służący, żołnierze

Scenografia:
TERESA TARGOŃSKA

Reżyseria:
STANISŁAW BUGAJSKI

Premiera 15. 03. 1969 r.



Calderon

ŚWIAT ŚNI
DLACZEGO NIKT
NIE CHCE SIĘ OBUDZIĆ

"Życie jest snem" Dzień drugi

CALDERON



Don Pedro Calderon de la Barca Henao de la Barreda y Riano urodził się w Madrycie 14 lutego 1600 roku jako syn drobnoszlacheckiej urzędniczej rodziny, przez matkę związanej pochodzeniem z Niderlandami. Był więc synem Madrytu, podobnie jak Lope de Vega, podobnie jak on rodzinną tradycją sięgającym w górską dolinę Carriedo w Kastylii, skąd Calderonowie przybyli do stolicy. Mimo że ojca stracił młodo (mając lat 15), odebrał staranne wychowanie i wykształcenie, najpierw w kolegium jezuickim w Madrycie, jak to podówczas było powszechnie przyjęte, potem na uniwersytetach w Alkali i w Salamance, gdzie studiował teologię, filozofię i prawo. Mając dwadzieścia lat ukończył studia, znany już wówczas jako autor dramatu „Wóz niebieski” (El carro del cielo), który miał rzekomo napisać w wieku lat trzynastu. Ten młodzieńczy utwór Calderona zachował się tylko w tradycji, a młody pisarz zaczął swoją karierę uczestnicząc w konkursach poetyckich, odbywających się w Madrycie ku czci różnych świętych: najpierw Izydora wieśniaka — patrona Madrytu, którego słał też Lope de Vega, potem św. Teresy, Ignacego i Franciszka Ksawerego. Sonet i oktawa, które Calderon z tej okazji przedstawił, zostały publicznie pochwalone przez najwyższy autorytet, jakim był wówczas Lope de Vega, i wydrukowane w dziełach tego ostatniego. W roku 1622 otrzymał nawet Calderon trzecią nagrodę co według Cervantesa było

najwyższym odznaczeniem dostępnym dla człowieka utalentowanego, lecz nie popieranego przez żadną wpływową osobę.

Po tym konkursie poetyckim Calderon zniknął na szereg lat z widowni; takie luki w biografii wielkich nawet pisarzy hiszpańskich nie należą do rzadkości. W tym czasie odbywał poeta służbę wojskową we Flandrii i w Lombardii; prawdopodobnie najpierw wybrał się w podróż do Flandrii, a potem — około 1630 r. — zaciągnął się tam do wojska i brał udział w słynnych walkach pod Bredą, które upamiętnił w dramacie „Obłężenie Bredy” (El sitio de Breda). Służba wojskowa nie przeszkodziła mu zajmować się literaturą. W roku 1630, pisząc „Wieniec laurowy Apollina”, Lope de Vega wymienia nazwisko Calderona wśród poetów pochodzących z Madrytu.

Śmierć Lopego de Vega w roku 1635 była dla Calderona — dramaturga datą przełomową. Jego wielki poprzednik pozostawiał po sobie wolne miejsce naczelnego dostawcy teatrów królewskich, a panujący wówczas Filip IV był szczególnym miłośnikiem, nawet fanatykiem teatru. Calderon zobowiązuje się zaopatrywać dwór swoim piórem; w zamian spotyka go szereg wyróżnień i odznaczeń, jak mianowanie kawalerem św. Jakuba. Gdy w roku 1640 pisarz wyrusza do Katalonii dla tłumienia buntu tamtejszej ludności, król widzi niechętnym okiem to zaniechanie pióra dla miecza. Po powrocie Calderon otrzymuje od króla pensję w wysokości 30 guldenów; w roku 1649 staje u szczytu sławy. Ponowne małżeństwo królewskie i przybycie do Madrytu drugiej małżonki, Anny Marii Austriackiej, stają się świetną okazją do zabłyśnięcia. Król powierza Calderonowi zorganizowanie uroczystości dworskich, pełnych okazałości i przepychu, których obraz utrwalił poeta w uroczej komedii „Strzeż się cichej wody” (Guardate del agua mansa).

W roku 1651 Calderon przyjmuje święcenia kapłańskie. Jeżeli święcenia kapłańskie i zwią-

zane z ich przyjęciem stanowiska kościelne nie przeszkodziły Calderonowi zajmować się nadal literaturą i teatrem, to śmierć możnego protektora, Filipa IV, odbiła się na tych sprawach raczej niekorzystnie. Karol II usposobieniem różnił się bardzo od ojca; Calderona nie popierał, teatrem się nie pasjonował. Niemniej poeta nie przestawał tworzyć dla teatrów dworskich, publicznych i kościelnych, a śmierć jego (25 maja 1671) okryła żałobą cały naród.

Dorobek pisarski Calderona jest o wiele uboższy od imponującej spuścizny Lopego de Vega, jednakże i on należy do niezwykłych, gdyż obejmuje łącznie około trzystu pozycji.

Na rok przed śmiercią sam pisarz na życzenie hrabiego de Veraguas zestawił listę swych dramatów i misteriów przeznaczonych na Boże Ciało, tzw. *autos sacramentales*. Ten katalog, mimo że nie wszystkie jego pozycje udało się zidentyfikować, stanowi do dziś podstawę znajomości i badania dramatów Calderona. Nadto odnaleziono jeszcze nieco utworów nie objętych listą — w sumie stanowi to 120 komedii, 80 *autos sacramentales* i kilkadziesiąt króciutkich fars...



Już te lekkie widowiska można nazwać arcydziełami Calderona. Nie brak ich jednak wśród poważniejszych dramatów, których założenia filozoficzne i mistyczne realizują się w niemniej barwnej i pomysłowej formie scenicznej. Trzeba tu wymienić na pierwszym miejscu „*Życie snem*” (*La vida es sueño*), dramat o światowej sławie, tłumaczony niemal na wszystkie języki europejskie, przerabiany nieustannie aż do XX wieku. Rzuca on pomost między średniowieczną tradycją a barokowe marzenie o życiu-śnie, w którym wschodnia legenda i mistycyzm chrześcijański splotły się na tle dziwacznej intrygi, oprawionej w niemniej dziwaczne ramy rzekomo polskiego kolorytu lokalnego. Powodze-

nie tego arcydzieła wynika niewątpliwie z faktu, że nadaje się ono do najróżniejszych interpretacji i komentarzy. Jego misterna, wielowarstwowa budowa pozwala odczytywać je na wiele sposobów. Można się zadowolić samą sensacyjną akcją, można, sięgając głębiej, widzieć w niej symbol buntu człowieka przeciw przeznaczeniu; można wreszcie odczytać na dnie tego palimpsestu filozoficzną myśl chrześcijańską, zagadnienie wolnej woli i przeznaczenia, obok problemów poznawczych — różnicy między snem a jawą, między rzeczywistością a złudzeniem. Mistrzostwo Calderona polega na tym, że cały ten wkład myślowo-symboliczny bynajmniej dramatu nie obciąża i że dramat ten posiada własny dynamizm, autonomiczny, niezależny od treści pojęciowej. Tak więc interpretacja naukowa „*Życia snem*” nie stanowi koniecznego warunku do zapoznania się ze sztuką i zasmakowania w niej.

„*Życie snem*”, kilkakrotnie tłumaczone na język polski i grane na polskich scenach, wywoływało często głosy protestu przeciwko nieścisłościom tzw. kolorytu polskiego. Nie ulega wątpliwości, że Calderon wykazał w tym dramacie nieznaną polskiej historii i geografii i że spletał w nim niezręcznie fakty i imiona dotyczące Rosji, Polski i samej nawet Hiszpanii. Wiadomo, że pisarze XVII, a nawet XVIII wieku o koloryt lokalny nie bardzo dbali. Wiadomo też, że Calderon pragnął niezwykłą akcję swego dramatu uprawdopodobnić na tle możliwie odległego i nieznanego kraju; dramatyzował egzotyczną baśń dla celów moralnych, filozoficznych, ubierał w barwne i fantastyczne szaty dręczące go zagadnienia poznawcze i teologiczne.

„Historia literatury hiszpańskiej”.

Wrocław 1966 r.

PRÓBY



Być może, iż poza nami rzeczy mają swoją wagę, wymiary i własności; ale wewnątrz, w nas, dusza nasza przykrawa jej, jak się jej podoba. Śmierć straszna jest Cyceronowi, Katonowi upragniona, obojętna dla Sokratesa. Zdrowie, świadomość, wiedza, bogactwo, piękność i ich przeciwieństwa, zrzucają szaty przy wejściu i otrzymują od duszy naszej nowe odzienie tej barwy, jak jej się podoba: ciemnej, jasnej, żywej, posępnej, jaskrawej, łagodnej, głębokiej, powierzchownej, jak się której duszy przygodzi; nie zeszytychowały bowiem do wspólnej miary swych stylów, reguł i form; każda jest królową w swym państwie. Dlatego nie troszczymy się o własności rzeczy poza nami: trzeba nam sobie zdawać sprawę jedynie z siebie samych. Nasza dola i niedola zależy od nas. Przed siebie tedy zanieśmy nasze życzenia i ofiary, a nie przed fortunę: ona nie ma żadnej mocy nad naszą naturą: przeciwnie, natura nasza pociąga ją i kształtuje na swoją modłę.

Gdybyśmy zadali sobie kiedyś fatygę zagłębić się w swoje wnętrze i gdybyśmy czas obracany na sądenie drugich i poznawanie rzeczy będących poza nami zużyli na sondowanie siebie samych, ujrzelibyśmy snadnie, jak cała nasza budowla utworzona jest ze słabych i ułomnych części. Czyż to nie jest osobliwy znak niedosko-

nałości, iż nie możemy umocować naszego zadowolenia w żadnej rzeczy i że nawet pragnieniem i wyobraźnią nie jest w naszej możności wybrać, co nam potrzeba? Najlepszym tego świadectwem jest ów spór, istniejący od wieków między filozofami, mianowicie gdzie szukać najwyższego dobra człowieka; a spór ten trwa jeszcze i będzie trwał wiecznie, bez rozwiązania i jedności.

Najbardziej oplakany i kruchym ze wszystkich stworzeń jest człowiek, a zarazem najpyszniejszym. Czuje się i widzi pomieszczonym na śmietniku i gnoju świata, przykutym i przywiązany do najgorszej, najbardziej umarłej i zmurszałej jego części na najniższym piętrze domu, najbardziej oddalonym od sklepienia niebios, wraz ze zwierzętami najpodlejszej kondycji; i oto w urojeniu swoim stawia się nad krąg księżycy i niebo kładzie sobie pod stopy!

Potępiam wszelki przymus w wychowaniu tkliwej duszy, którą się kształtuje dla czci i wolności. Jest dla mnie coś służalczego w rygorze i przymusie; mniemam, iż czego się nie da zrobić rozumem, roztropnością i sztuką, nie osiągnie się nigdy siłą... Nie widziałem innego skutku różeg prócz tego, iż czynią duszę spodloną, albo bardziej jeszcze złośliwą i upartą.

Żyjemy jeno ceremonią; ceremonia pociąga nas z sobą i sprawia, iż niechamy samej istoty rzeczy. Ceremonia broni nam wyrazić słowami godziwe i naturalne rzeczy i my jej wierzymy; rozum broni nam czynić złe i niegodziwe i nikt mu nie wierzy.



Zaiste człowiek jest to istota osobiwie lekka różnoraka i odmienna; nielacno budować o nim stale i jednolite mniemanie.



Blaise Pascal

M Y Ś L I



Trzeba znać siebie samego: gdyby to nie posłużyło do znalezienia prawdy, służy przynajmniej do wytyczenia własnego życia, a nie ma nic godziwszego.



Nie uczy się ludzi, jak być ludźmi, a uczy się ich wszystkiego innego, im zaś nigdy tyle nie zależy na reszcie, co na tym, aby być ludźmi. Zależy im wyłącznie na umiejętności jedynej rzeczy, której się nie uczą.



Mimo widoku wszystkich nędz, które nas dotykają, które nas dzierżą za gardło, mamy jakiś instynkt, którego nie możemy zdławić, a który nas podnosi.



Myśl stanowi wielkość człowieka. Mogę sobie dobrze wyobrazić człowieka bez rąk, nóg, głowy (jedynie bowiem doświadczenie uczy nas, że głowa potrzebniejsza jest od nóg). Ale nie mogę sobie wyobrazić człowieka bez myśli: to byłby kamień albo bydło.



Ludzie są tak nieodzownie szaleni, iż nie być szalonym znaczyłoby być szalonym innym rodzajem szaleństwa.



Wielcy i mali mają jednakie przygody, jednakie troski, namiętności; ale jeden jest u szczytu koła, drugi blisko środka, tym samym ulega mniejszym wstrząśnięciom przy tych samych obrotach.

LOGATKA NIEKIEJ WYKŁAD

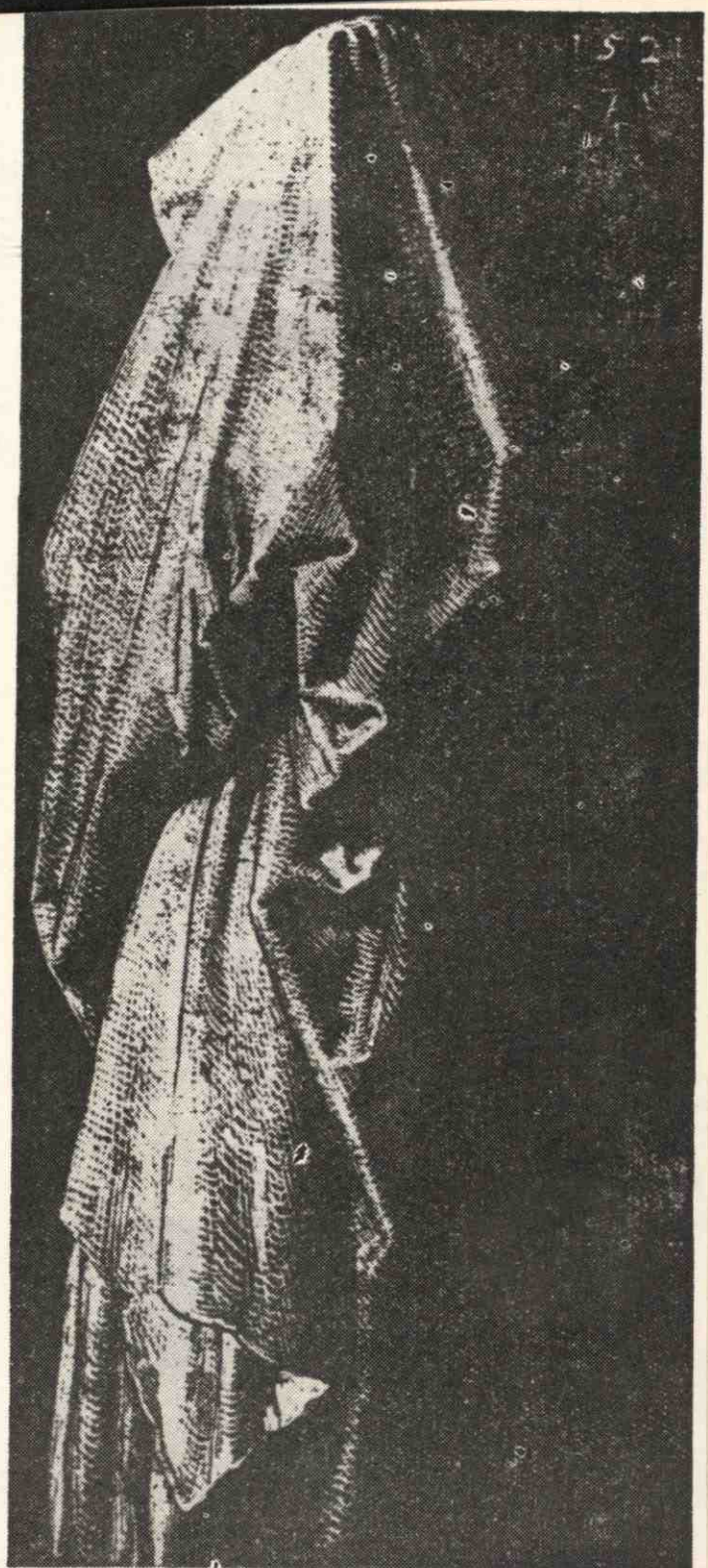


Gdybyśmy śnili co noc o tej samej rzeczy, przejmowałaby nas ona tyleż co przedmioty, jakie widzimy codziennie. Gdyby wyrobnik był pewien, iż będzie śnił co noc przez dwanaście godzin, że jest królem, sądzę, iż byłby prawie

równie szczęśliwy co król, któryby śnił co noc przez dwanaście godzin, że jest wyrobnikiem.

Gdybyśmy śnili co noc, że nas ścigają nieprzyjaciele, i widzieli tym podobne majaki, dni zaś spędzali na rozmaitych zatrudnieniach, jak to bywa w podróży, cierpielibyśmy prawie tyle, co gdyby to było prawdą, i lękalibyśmy się snu, tak jak lękamy się przebudzenia, kiedy obawiamy się popaść w takie nieszczęścia w rzeczywistości. I w istocie, taki sen sprawiałby może tyleż męki co rzeczywistość.

Ale ponieważ sny są coraz inne, a nawet i ten sam odmienia się — to, co w nich widzimy, przejmuje nas o wiele mniej niż to, co widzimy na jawie, a to dla ciągłości, która wszelako nie jest tak jednostajna i równa, aby się też nie zmieniała, ale mniej gwałtownie, chyba czasem tylko, na przykład w podróży, wówczas powiadamy: „Zdaje mi się, że śnię”, życie bowiem jest snem nieco mniej niestałym.



ROMANCE DEL CONDE OLIVEROS

czemu milczy Oliveros i w komnacie się zamyka
czemu księcia już nie cieszą ani lutnie ani flety
w oknie stoi wiatru słucha i do rana patrzy w gwiazdy
i o świecie spać się kładzie i przez sen rozgłośnie
krzyczy
dzik szedziwy śni się księciu księżę we śnie mówi
z dzikiem
a nikt nie wie o czym mówi a nikt nie wie o co pyta
a gdy wiatry się zmieniły kazał księżę siodłać konia
bierze ostrze hartowane bierze ostrze krwi zlaknione
bierze łuk i prędkie strzały będzie księżę łowić dzika
siedem dni na łowach bawił siedem dni za dzikiem
gonił

suche wiatry chwytal w usta przez cierniste krzewy
ostrzem w śniegu hartowanym brodził
i przykięknął Oliveros i we krwi zanurzył dłonie
i zapytał Oliveros usłysz o co spytał księżę
„ani żywy ani zmarły o zwierzu przebity ostrzem
nim twym mięsem psy nakarmię powiedz komu los
taskawszy
czyli temu kto wciąż żywie czyli temu kto już zmarły”
i powiedział dzik szedziwy usłysz co powiedział księciu
„najtaskawszy los jest temu kto ni żywy jest ni
zmarły”


wszystko wiedzący los
jak rzadko kłamie
gdy wróży nieszczęście
jąka się i powątpiewa
belkocze
życząc nam dobrze
przemawia stanowczo i pewnie
gdy czeka nas cierpienie
mądry astrolog
powinien przepowiadać wyłącznie
katastrofy i rzezie
nieszczęścia
a zawsze się sprawdzi

Życie snem, Dzień drugi



śni kto się rodzi
śni kto w łonie
śni
kto się trudzi i kto
pragnie
bogacz śni pieniądze
żebrak grosze
filozof byt i niebyt
we śnie
wszystko to jedno
świat śni
dlaczego nikt
nie chce się obudzić

Życie snem, Dzień drugi



Roger Caillois

RACHUNEK SUMIENIA

Zastanawiam się, jakie dziwne powody nakłoniły mnie do zajęcia się problemem marzeń sennych. Nie wierzę, aby sny były prorocze, by otwierały przed nami jakiś świat cudowny ani by zamykały w sobie czy objawiały jakieś ważne i bezsporne tajemnice. Nie cenię ich rzekomych walorów poetyckich. Uważam wreszcie, że pociecha, jaką rzekomo nam przynoszą, jest co najmniej śmiechu warta. Nie wiem, co popchnęło mnie do wystąpienia w roli obrońcy rzeczy, której wyolbrzymianie zawsze mnie irytowało. A jednak z dziwną zawziętością starałem się pokazać, że niepewność świata rzeczywistego jest bezsporna, i że płynie ona ze snów. Uparłem się udowodnić, że nie ma takiego niezawodnego kryterium, które w jakiegokolwiek chwili pozwalałoby komuś mieć niezbitą pewność, że nie śni.

A przecież równie łatwo jak inni potrafię odróżniać sen od rzeczywistości. Wiem zresztą, że w praktyce dla nikogo nie jest to trudne. Nawet jeżeli chodzi o umysłowo chorych, wydaje się, że niewielu z nich miesza sen z jawą, raczej poddają się po prostu obsesji swoich marzeń sennych, czyli tego, co wysnuli z własnej wyobraźni. Pytania, które sobie zadawałem, wydają się wobec tego nagle tylko konwencjonalne, często retoryczne, takie właśnie, jakie są dla mnie powodem nieufności do wielu tekstów filozoficznych, w których z satysfakcją demaskuję ich pracowitą logomachię, stwarzanie pozornych problemów.

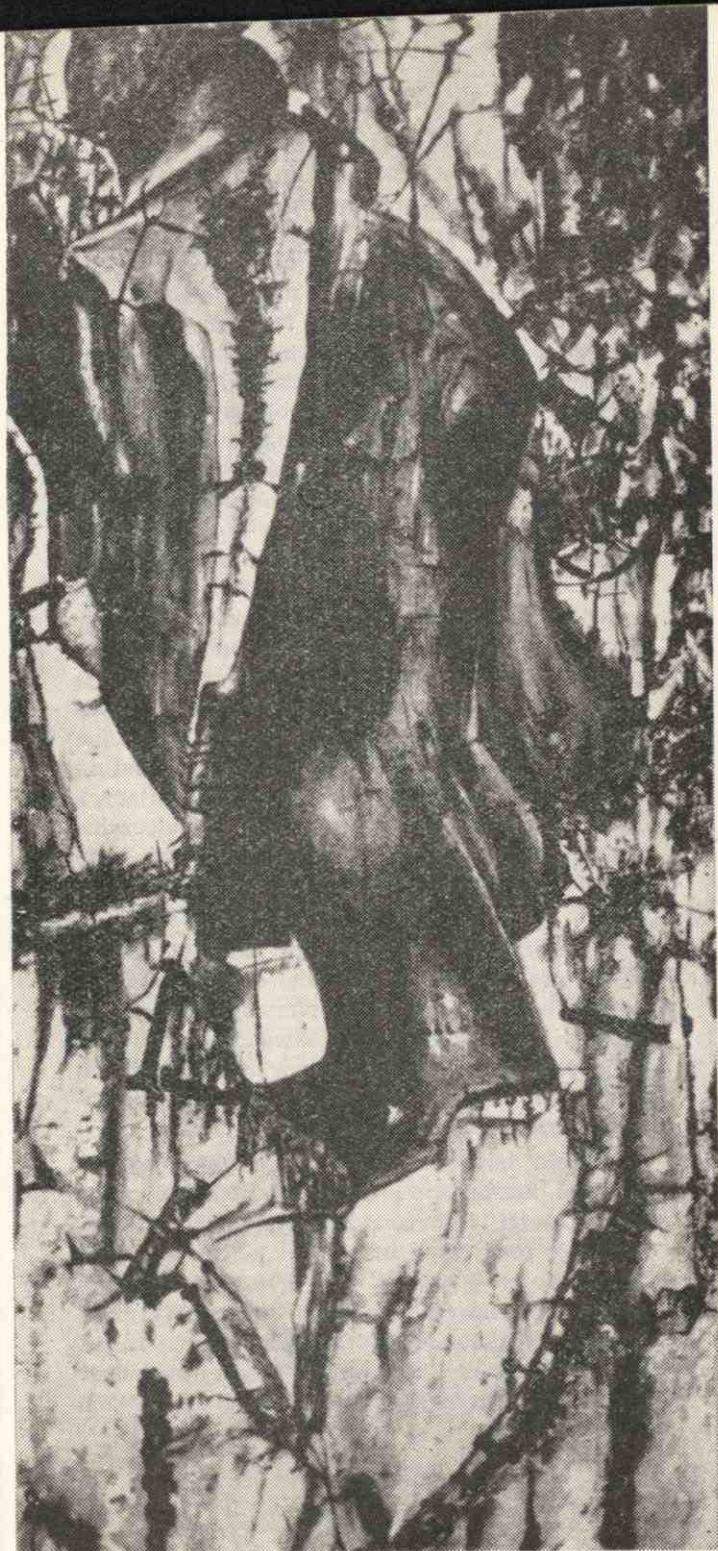
Ogarniają mnie wątpliwości, czy ja sam z kolei nie stworzyłem problemu, który istnieje tylko dla mnie, a przy tym nawet dla mnie jest tylko manipulowaniem pojęciami, z których, dla samej gry, układam najrozmaitsze kombinacje niepotrzebne i bez znaczenia. Mamy to prawda,

wywody Czuang-Tsy, Kartezjusza, Pascala. Stanowią one gwarancję, że nie zatrzymałem się nad tym problemem bez uzasadnienia, świadczą, że niezależnie od różnic szerokości geograficznej i cywilizacji zaprzętały umysły zaliczone do najprzenikliwszych i najśmielszych umysłów wszystkich czasów. Dla nich jednak stanowi tylko przeszkodę drugorzędną, moment bez większego znaczenia w operacji intelektualnej, której przedmiotem było co innego. Częstokroć służył im jedynie jako argument polemiczny i uboczny. Był podrzędnym elementem obszernej doktryny. Czy jednak — wyosobniona i rozpatrywana dla samej siebie — trudność ta, choć rzeczywista i niebłaha, zasługuje na uwagę?

Mnogość zainteresowań, o których świadczą moje różnorodne prace, niepokoi mnie trochę. Jedynym wspólnym mianownikiem, jaki mógłbym dla nich znaleźć, jest stale ta sama postawa wewnętrzna.

Człowiek niczego nie osiągnie, jeżeli nie zdyscyplinuje wysiłków. Wszelka dyscyplina oznacza mozół, wyrzeczenie, ofiary. Zmusza do czynności trudnych i zawiłych, zaś to, co nam one dają, jest tylko częściowe, niepewne, sporne, lecz trwałe. By skompensować przymus, jaki sobie zadajemy, rodzi się w nas marzenie o alchemii, o jakiejś utraconej tajemnicy, która w jednej chwili i bez żadnego wysiłku wyczarowałaby olśniewającą wspaniałość, zdolną zaspokoić najszaleńsze pragnienia. Wystarczyłoby ulec, a wszystko stałoby się łatwe, niezawodne, cudowne.

Osiągnięcia ludzkie tylko wtedy mają znaczenie, jeżeli stanowią pewien etap na drodze trudnej i niewdzięcznej. Nie istnieją jednak takie nieomyłne znaki (mam na myśli znaki nie podlegające hierarchii ustanowionej przez samego człowieka, gdyż takie zawsze można zakwestionować), które by gwarantowały, że etap ten stanowi rzeczywisty krok naprzód. Może to tylko miraż, a może omyłka. Toteż człowiek nie może



oprzec się ciągłej niepewności i trwodze. Rozpaczliwie usiłuje zaszczyć prawom rządzącym naturą — natychmiastowym i prostym, które nigdy nie zawodzą i od których nie ma odwołania — gmatwaninę jakichś nietrwałych wybiegów. Wybiegi te, częstokroć niskie, łagodzą niewątpliwie ślepa brutalność tamtych praw, ale wciągają tego, co się do nich ucieka, na drogę całkowicie ryzykowną. Ogarnia go lęk, że pobłądził. Im dalej brnie, tym więcej ma wątpliwości. Dręczy się i wkrótce zaczyna się buntować, gdy rozmyśla nad podstawami tego, co od tej pory ma stanowić formułę losu jego gatunku. Ogarnia go coraz większa chęć, żeby burzyć, nie zaś budować. Zmęczenie splata się z rozdrażnieniem. Jakby po to, żeby obrzydzić mu dzieło cywilizacji i jałowe prace, nad którymi uporczywie się trzusi, nie zawsze świadomy ich prawdziwego sensu, uniesienia rozpościerają przed człowiekiem wizję tego, co czyste, autentyczne, żywiołowe. Ten uwodzicielski obraz nie kłamie wprawdzie, jeżeli chodzi o bujną naturę tych szarów niepohamowanych i nie uznających żadnej dyscypliny, tai jednak ich nieuleczalne skazy: monotonię, powtarzalność, istotne ubóstwo, które nie daje nadziei żadnego wzbogacenia.

Tak oszukany człowiek, im bardziej oddalił się od pradawnych źródeł swej energii, tym łatwiej wierzy, iż powrót do pierwotności wyzwoliłby go od absurdalnych konwencji, od złowrogich przesądów, które wbrew wewnętrznemu przekonaniu czuje się w obowiązku respektować i narzucać innym.

Istotnie bowiem natura splata się z siłami otchłani. Skutecznie przeciwstawiać się jej może tylko powoli wznoszona przez nas budowla dowolnie przyjętych instancji i konwencji, dość mocnych, by ją ujarzmiły i przyspieszyły powstanie praw innych niż prawa natury. Wszystko jednak wyłoniło się z niezmiernego zbiornika, z Ziemi Saturną, z antycznej i groźnej płodności. Szcęściem z tego odwiecznego źródła wszelkich

mocy rodzi się również i ta najbardziej z nich podstępna — wola wprowadzenia ładu, przeznaczona, by ująć w karby ich leniwą rozrzutność. Najsubtelniejsze dzieło ludzkie zawdzięcza ślepej bujności zarówno swe tworzywo, jak i upór, który pozwala tego dzieła dokonać.

Nieraz surowo potępiałem uniesienia, fascynacje i automatyzmy. Zawsze dopatrywałem się w nich rezygnacji z umiejętności niezawisłego myślenia, która stanowi właściwą wielkość człowieka. Wystrzegałem się jednak potępienia ich zbyt pochopnie. Starłem się przedstawić je sprawiedliwie i dokładnie. Badałem urok sennych zjaw łapeczywie i z sympatią, może z uczuciem skrytych z nimi powiązań, ale zawsze zdecydowany nie kapitulować. Przyznałem, że nic, co pełne mocy, zdobywcze, nie mogło wyrosnąć ani rozwijać się bez ich współudziału. Wprawdzie nie dałem się omamić, próbowałem za to jednak wyjaśnić ich tajemnicę nie deprecjonując właściwości. Nie chciałem umniejszać niczego, co w nich doskonale, i pragnąłem zmierzyć cały zasięg ich władzy. Usiłowałem przebić mrok spowijający laboratoria, do których wstęp jest wzbroniony i gdzie w uśpieniu świadomości przebiegają procesy podstawowych i decydujących fermentacji. Bywało i tak, że przyznawałem im siły i właściwości pominięte przez największych entuzjastów. W miarę możliwości opisałem, co stanowiło ten przemilczany wkład. Wziąłem sobie za punkt honoru nie pomniejszać jego roli.

W ten sam sposób i w tym samym duchu podchodziłem do zagadnień natchnienia poetyckiego, syntaksy świętości, upojenia wojną, instynktu gry. Nieświadomie najpierw, taką samą próbę podjąłem w stosunku do marzenia sennego. Chciałem pokazać, że ta codzienna, najzwyklejsza alienacja jest źródłem czegoś innego niż tylko migotliwej fantasmagorii zrodzonej z żalu i pragnień, twórczyni niknących złud. Nie sądzę bowiem, by tym, co najcenniejsze w marzeniu

sennym, była jego pozorną swoboda, nierzeczywistość jego esencji czy blahe i pierzchliwe cuda, które równie obojętnie sprowadza, jak zacier. Chciałem pokazać, że najcenniejsza w nim jest zdolność urzekania. Marzenie senne ukazuje bowiem tę najwyższą łatwość, jaka zjawia się natychmiast, gdy wyeliminować hamulce warunkujące konstruktywne, dokonywane na jawie dzieło człowieka. Stwarza tak intensywne i całkowite złudzenie czuwającej świadomości, tego, do czego jest ona zdolna i co należy do jej uprawnień, że wszelką osiągniętą przez nią pewność podważa wątpliwościami nie do odparcia. Groźne i zdradliwe w marzeniu sennym jest nie tylko to, co przeciwstawia je rzeczywistości, ale to właśnie, co je do niej zbliża i przez to rzuca na nią w końcu nieodparte podejrzenie, iż jest nierzeczywista.

W moich rozważaniach nad władzą marzeń sennych nie odszedłem chyba od zwykłej linii postępowania. Ograniczyłem się do analizy ich skutecznych i nieuchwytnych podstępów. Nie wiem, czy moje wywody okażą się dostatecznie przekonujące i czy czytelnik przyzna mi, że jesteśmy bezradni wobec tego cienia niepewności, który sen rzuca na wszystko, co robimy, i który, choć niemal nie istniejący, opiera się jednak najgłębiej nawet przemyślanym argumentom. Tu właśnie kryje się prawdziwa, urzekająca moc snu, siedlisko utajonej siły, która nie daje się ujarzmić, a którą inne jego powaby rozdrabniają tylko lub przystrajają blaskiem mniej świetnym. To ostateczne niedomówienie, na które sen pozwala czy do którego zachęca, niesie z sobą łaskę dodatkowej i wspaniałej niezawisłości. Nikomu nie wychodzi na dobre nadmierne przywiązanie do świata, to znaczy do splotu obowiązków, trosk i ambicji pochłaniających zazwyczaj nasz czas i życie. Choć takie nam się wydają szlachetne i ważne, dobrze, iż czasem przeniknie nas poczucie ich nicości.

Nie znaczy to, bym uważał jak poeci, że życie jest snem, czy że utkane jest z materii naszych



snów. Nie znaczy również, bym zgodnie z mądrością Wschodu całą rzeczywistość brał za złudzenie, od którego dusza ludzka powinna się

wyzwolić. Myślę tylko, że nie ma spraw tak pilnych ani bezspornych, by dla własnej korzyści człowiek nie powinien zachować wobec nich zbawiennego dystansu. Uważam, że naraża się na utratę królewskiego przywileju angażując się w nie na oślep i tak dalece, że staje się przez to niezdolny odsunąć się dostatecznie daleko, by móc przez chwilę choćby spojrzeć na to, co mu takie jest miłe czy o co tak gorliwie zabiega, również jak na nietrwały miraż, który może zniknąć wraz z przebudzeniem. Podobnie Ignacy Loyola wymagał od żołnierzy Towarzystwa Jezusowego, by liczyli tylko na siebie, i nakazywał działać tak, jakby Bóg nie istniał, chciał bowiem, by żaden z nich nie zdawał się nigdy na pomoc, której mogłoby zabraknąć, zarazem jednak przypominał im zawsze, iż wszystko jest w ręku Boga.

Na pewno warto zachować ten dystans, który pomaga uchronić się od nadmiernych pożądań i od bezmyślnego pośpiechu. Nie stanowi on zachęty ani do zubożenia, ani do wyrzeczeń. Wyznacza rzeczom właściwą rangę. Oslania człowieka przed pokusą najbardziej upartą: rzucania się na zdobycz czy na przynętę. A sam nie wiem, który z tych dwóch zazwyczaj zresztą połączonych bodźców jest dla niego bardziej niebezpieczny — chciwość czy głupota?

„Odpowiedzialność i styl”
Warszawa 1967 r.

Obs

Przedstawienie

Kontrola tekstu

Kierownik techn

Główny elektryk

Brygadier sceny

Rekwizytor

Prace fryzjerskie

Prace ślusarskie

Garderobiana

Kier

malarskiej

stolarskiej

krawieckiej dams

krawieckiej męsk

Składał:

Józef Pauliński
Lechosław Mazurkiewicz

Lamał:

Franciszek Warchlewski

Drukował:

Sylwester Rybarczyk

Opracowanie i redakcja programu:

BOŻENA WINNICKA

Zdjęcia do programu
wykonał:

ZBIGNIEW ŁĄCKI

wyzwolić. Myślę tylko, że nie ma spraw tak pilnych ani bezspornych, by dla własnej korzyści człowiek nie powinien zachować wobec nich zbawiennego dystansu. Uważam, że naraża się na utratę królewskiego przywileju angażując się w nie na oślep i tak dalece, że staje się przez to niezdolny odsunąć się dostatecznie daleko, by móc przez chwilę choćby spojrzeć na to, co mu takie jest miłe czy o co tak gorliwie zabiega, również jak na nietrwały miraż, który może zniknąć wraz z przebudzeniem. Podobnie Ignacy Loyola wymagał od żołnierzy Towarzystwa Jezusowego, by liczyli tylko na siebie, i nakazywał działać tak, jakby Bóg nie istniał, chciał bowiem, by żaden z nich nie zdawał się nigdy na pomoc, której mogłoby zabraknąć, zarazem jednak przypominał im zawsze, iż wszystko jest w ręku Boga.

Na pewno warto zachować ten dystans, który pomaga uchronić się od nadmiernych pożądań i od bezmyślnego pośpiechu. Nie stanowi on zachęty ani do zobojętnienia, ani do wyrzeczeń. Wyznacza rzeczom właściwą rangę. Oslania człowieka przed pokusą najbardziej upartą: rzucania się na zdobycz czy na przynętę. A sam nie wiem, który z tych dwóch zazwyczaj zresztą połączonych bodźców jest dla niego bardziej niebezpieczny — chciwość czy głupota?

„Odpowiedzialność i styl”
Warszawa 1967 r.

Obsługa przedstawienia:

Przedstawienie prowadzi	ELŻBIETA BORKOWSKA
Kontrola tekstu	EWA LICHODZIEJEWSKA
Kierownik techniczny	ZDZISŁAW WALOSZEK
Główny elektryk	ZDZISŁAW WITKOWSKI
Brygadier sceny	MIECZYŚLAW ADAMKIEWICZ
Rekwizytor	KAROL STÓJ
Prace fryzjerskie	HELENA JANICKA
Prace ślusarskie	JAN KALWASIŃSKI
Garderobiana	EUGENIA ADAMKIEWICZ

Kierownicy pracowni:

malarskiej	MICHAŁ PUKLICZ
stolarskiej	BERNARD KOKTYSZ
krawieckiej damskiej	MARIA ŁASECKA
krawieckiej męskiej	STANISŁAW NASZCZYNIC

Cena 3,— zł

W repertuarze:

Eurypides

IFIGENIA W AULIDZIE

Stanisław Wyspiański

SĘDZIOWIE

Eugeniusz Szwarec

CZERWONY KAPTUREK

W przygotowaniu:

Jürgen Fricke

DRUGA TWARZ